



# PRZYPOMNIENIA LITERACKIE

## Czytanie źródeł II. Od „Wielkiego świniobicia” do „Stanu skupienia”

Czesław Markiewicz

Dwie książki Zygmunta Trziszki. Leżą obok siebie. Patrzę. Odkrywam ze zdumieniem: obie wydane w tym samym 1983 roku - „Dać drapaką” (wybór opowiadań ze słynnym „Wielkim świniobiciem”) i „Stan skupienia”. Magia? Przypadek? Nie wiem dlaczego pomyślałem: początek i koniec. Dlaczego tak? Może dlatego, że Zygmunt Trziszka zmarł? Gdybym o tym nie wiedział? Gdyby Trziszka żył?

Pierwsze zdanie z „początku”: „Wszyscy mogli jechać, ale oni nie powinni, nawet nie mieli prawa”. Pierwsze zdanie z „końca”: „Coś niedobrego, dookoła albo tylko we mnie”. Odchylam listek w „Dać drapaką”. Wydawca napisał: „*Dać drapaką* jest wyborem opowiadań Zygmunta Trziszki prezentującym zamknięty już okres twórczości pisarza”. A więc „początek” jest jakimś „zamknięciem”. A ja podświadomie upieram się, że właściwy „koniec” pisarz obwieścił albo zaczął obwieszczać właśnie w „Stanie skupienia”. Nie lubię tego „Stanu”, nazbyt pomazanego stachurową frazą, warszaw-

skim udawanym egzystencjalizmem; chociaż ten 1983 u Trziszki to tylko rok wydania, nie mogę opędzić się od atmosfery 1983-ciego przywoływanej przez Kisielewskiego, już w czasie powieściowym, w jego „Wszystko inaczej”. Cholera - to też jakiś koniec. Albo tylko ostatnia książka Kisielewskiego. Na szczęście nie potrzebuję uświadamiać sobie takiej aluzji.

Wracam do „początku” i „końca” Zygmunta Trziszki. Muszę to źródłowo prześledzić. Ale nie tylko to. Jest „coś” trzeciego (oprócz Trziszki i moich magicznych z nim, z jego twórczością potyczek). To Wańkowicz. To „Tworzywo”. Sam pisarz i jego powieści pasują niechybnie do „początku” Trziszki! Przymierzam do siebie tajemnicze nazwy z urodzenia, z pierwszych widzeń świata - obu: Trziszki i Wańkowicza. Tu i tam kresy. Dawna, utracona na zawsze ziemia przyrodzona, żadna tam „obiecana”. Porównuję: Trziszka - Wełdirz, Stanisławów; Wańkowicz - Kałużyce, Mińszczyzna, Nowotrzeby. Już

tylko nazwy miejscowości, krain brzmią jak tajemnica. Nie pomagają, brzmi źle, odpychają właściwe określenie, że to onomastyka.

I najpierw przelatują w pamięci strzępki zdań, zlepki słów z „Tworzywa”: „kto się za morze schowa, to się i schował”; „czują: wielki duch sprawiedliwego życia doszedł do nich (...) już będą wdzięczni i wierni na śmierć i życie”. Już nieco później pojawia się refleksja.

Oto w poszukiwaniu swoich bohaterów Wańkowicz przemierzył blisko osiemnaście tysięcy kilometrów kanadyjskiej „ziemi obiecanej”. Trziszka musiał odbyć inną podróż - sentymentalną, sam będąc bohaterem swoich „ziem odzyskanych”. Jak zmierzyć takie połączenie? Gdyby Wańkowicz był młodszy, dużo młodszy, w którym miejscu spotkałby się z Trziszką? W Cigacach, Skarpie, Owczarach? Który wydałby swoje tworzywo najpierw w Nowym Jorku, a dopiero po czterech latach w Warszawie? (Pierwsze wydanie „Tworzywa” ukazało się w 1954 roku w Nowym Jorku, polska edycja pojawiła się dopiero w 1960 roku).

Nie lubię „prozy pionierskiej”. Tej tutejszej. Nadodrzańskiej. Jest nadzbyt propagandowa. Zbyt czytelna. Z gotowymi tezami. Ale to w nocy edytorskiej do IX (sic!) wydania „Tworzywa” czytam: „Piękna, optymistyczna książka o godności pracy, o wytrwałości i solidarności ludzkiej, o wspaniałym trudzie pionierów, czyniących sobie ziemię poddaną”.

Muszę więc na nowo przeczytać dokładnie, choćby jedno opowiadanie z „Dać drapak”. Czytam to pierwsze, pt. „Plecami do wielkiej wody”. Czytam raz. Drugi. Trzeci. I wiem już wszystko. Wystarczy to jedno opowiadanie! Nawet nie całe. Wystarczy pierwsze i ostatni opis. Mogę bez żalu zrezygnować z całego „środka”: niby poruszającej historii, fabuły rodem z tragedii greckiej, kiedy to ojcowską tożsamość z nową ziemią okupuje śmierć syna, a w zasadzie pierwszy, rdzenny grób na obcej ziemi. Pisarz łączy tęsknotę z nadzieją, mieszając dwa krajobrazy: ten zapamiętany od pierwszego otwarcia oczu, z tym, którego trzeba będzie się uczyć aż po ostatnie spojrzenie. I ja tego nie czytam, ja to widzę:

„Tak i naród Czarnohory wyrzucony z wagonów rozsiadł się bez życia na stacyjnym placu, z przymkniętymi oczami czekał na mleko. Uśpiony kołysaniem pociągu, nie mógł się sam rozbudzić, czekał na głos od gór. Ale tamte zostały, pokryte smrekami, kosodrzewiną. Pozostała wierchowina i połoniny obsiadłe owcami. Nigdy dotąd nie wierzyli w prorocze słowa piosenki o Hucule, który ginie z tęsknoty za połoninami, dopiero teraz przyszło wspomnienie po drewnianych domach, które stały strojone w otoczeniu woryni. Zewsząd pchały się na oczy pagórki, połoniny, biegnące po nich plaże; widzieli owce na zharach.

Cigace przywitały ospałą rzeką, rozlewną, czarną, bez spienionego nurtu. Wieś przyłgnęła niewolniczo do spokojnego brzegu rzeki. Od niej z prawej strony wznosiło się piaszczyste rozmemlane wzniesienie. O tej porze drogi miodowo usłane klonowymi liśćmi, każdego ranka owiane mgłą, co wstawiała od rzeki i w jesienne poranki sennie wędrowała po wsi, ale nie pomagała obudzić się zmęczonym oczom, głodnym żołądkom.

Ludzie spod Czarnohory trafili na ziemię podmokłą, zatopioną we mgle gęstej, jesiennymi rankami opadającej dopiero koło południa. Dorzecza Wielkiej Rzeki biegną tu między łozinami i sitowiem, ospale podążają do wspólnego koryta, baraszkują między trzęsawiskami, zakutane w sitowie, z trudem toczą swoje wody, po prostu sączą. Przedwiosenną porą wody rzeczek nabierają rozlewnej mocy, podchodzą od sitowia, grązela i tataraku aż do stóp zabudowań.

Jechali od Prutu i Czeremoszu, żeby wybrać nową ziemię, i zastali tych, co im ta ziemia w smaku przypominała poleszuckie błota ciekące, lepkie - mieszaninę ilitu, torfu, i mułu. Poleszucki przyłgnęli do niej, już ujeżdżali ją duszehubkami i objanikami, pływali nimi po bezkresnych wodach Wielkiej Rzeki i przyległych jezior.

Akurat nad Cigacami sła miodowa jesień, zaraz od rzeki pas mokradel przechodził w plażowy piasek, na nim gnieździła się sośnina, tylko gdzieniegdzie przetykana jesiennie-miodnymi liśćmi brzeziny, klonów. Wśród lesistych skrzydeł jakby tokowiska rozciągały się rodliwe zagony kartoflisk. O tej porze mad Prypecią płoną ogniska, krowy chodzą samopas, dzieciarnia przysmała się przy ogniskach. Małe Poleszucki smakują błotnisty grunt, taplają się wśród szuwarów. A tu przy Wielkiej Rzece ucichła beltanina, jeszcze okopy przypominają niedawną szarpaninę, a już wszyscy czekają na wiosenną trawę, która zatrze ślady ognia”.

Tak to się zaczęło. Od krajobrazu. Wielką alegorią „migracji”. Krajobrazem Trziszka „pisze” nieprzerwane wędrowanie, tę pod-

wójną, potrójną, wieloraką repatriację. Bo opowiadanie, tak jak się zaczęło, tak się kończy „krajobrazową dychotomią”. Kolejną wędrówką ludów w poszukiwaniu utraconej swojskości, w kolejne, ciągle nowe miejsce, stale nowego życia, ale z ciągle tą samą, pierwotną pamięcią:

„Już i pociąg zadrybnał na swoje miejsce, choćby nie chciał, mógłby wyżej się gramolić. Zaraz nad Średnią zbocze zanosilo się jednolitą świerkową. Ktoś tutejszy powiedział, że dawniej w tym miejscu szumiało bukiem, modrzewiem, jodłą, ale przyszła ręka uzbrojona w topór, od niej legły opasłe pnie, przez to od świerków ziemia kwasem przesiąkła. Tylko we wspomnieniach tutejszych przychodzi czas świetności sudeckiej wierchowiny.

Ale już sudeckie polany nie ukryją swoich wspaniałości przed huculskim okiem, połoniny, jak wszędzie, wiosną stroją się w kwiecisty kozuch, tutaj nawłocz rośnie za pan brat z rogowicą źródlaną, dzwonkiem brodatym, gdzieś tam pysnie sybie się żółtość fiołka sudeckiego, czasem oko zdybie leńce alpejskie.

Zanosilo Huculów pod Śnieżkę, każdy znajdzie tu dla siebie splanecę wierchowiny, może i w świerkowej puszczy zamieszkuje Lisna - piękna dziewczyna leśna, przecież niektóre zbocza porasta gęsta suhła, nieprzebyte zmierzwienia konarów. I chyba przez to wszyscy mówią, że pod Śnieżką znalazła huculska dusza swoją wierchowinę”.

Wiem już wszystko. Już zawsze tak będzie. To nieprawda, że „znalazła huculska dusza swoją wierchowinę”. My - stąd, ale skądinąd - będziemy długo jeszcze wędrowali, przemierzaliśmy się albo tylko wiercili, choćby w miejscu, szukając swojego punktu, choćby... archimedesowego. Dopóki ktoś z nas będzie pamiętał te wszystkie „plaje”, „zhary”, „dusze-hubki”. Wiem to. Wiemy to. Dzisiaj. Pisarz, wtedy, wiedział jeszcze więcej. Czuł więcej. Stąd ta wspaniała, wielka, krajobrazowa alegoria. Bez końca. Ale Trziszka takiej „kropki” nie mógł wtedy postawić. Być może w „Dać drapak”, a już na pewno w pierwszych edycjach „Plecami do wielkiej wody”. Przynajmniej wprost. Na pewno nie na „początku”.

Postawił ją, po bożemu, na „końcu”, dopiero w „Stanie skupienia”. Zmienił się być może kontekst, być może pisarz zatęsknił do uniwersum, ale koniec z natury rzeczy jest

zwieńczeniem początku. Czyżby pisarz zamykał swoją - naszą? - wędrówkę, przyrodzoną diagnozą:

„Wykorzenie. To słowo pierwszy raz usłyszałem w takich czasach, gdy od usłyszenia samego słowa mrowie chodziło po plecach. Świat wymyślił tęgie lekarstwo na wyrwanie człowieka z ziemi razem z korzeniami... No, ale mówi się, że to było dawno...”

Tu jest mowa o innym wykorzeniu. Fakt, że starego dębu nie można przesadzać w inne miejsce, jary... Życie robi wszystko, żeby nas wykorzenie, a korzenie nasze spalić, już z matczynej brzucha jakaś siła wyrzuca nas impetnie, a my pępowiną, niczym tym pierwszym korzeniem żywota trzymamy za matczyne brzocho. Czyjaś ręka przecina ten korzeń naszego żywota, a my przez to jedno tylko jesteśmy zatrowożeni już na całe życie, łapiemy później za matczyną rękę i za spódnicę jak tonący za brzytwę. Tak silnie już nikt nas nie przestraszy jak ta bezwstydną macierz, co nas siłą wyciska ze swego żywota. Późniejsza trwoga to już tylko wieczyste powtarzanie tego wyrzucenia z matczynej pieczary”.

Zrozumiałem: akapity Trziszki pobrzmiwają jak słowa tajemniczej baśni - z jednej strony; jak przestroga - z drugiej. Tym bardziej, że świat, w swojej globalnej tęsknocie, jakby nie musi kłopotać się z gotowymi tezami. Być może. Nawet nie staram się tego rozumieć. Tak jak nie rozumiem, dlaczego nagle, teraz... na koniec, dopadła mnie „frazja” z „Tworzywa”: „puszcza wchłonęła ich jak ocean, przedzierali się przez roje komarów jak przez watę, wokół w gąszczu czaiło się czujne, drapieżne, obserwujące ich życie”. A Trziszka na to: „Nawet Buras szczeka na niego jak na obcego. Obcy...”.

Jestem przekonany: Trziszka stale skądś uciekał. Coś gnało go w nowe, nie zawsze nie odkryte rewiry. Trochę bez... ojczyzny - jak Stachura. Trochę nawet bez... przynależności - jak Wańkowicz. Ciągłe bez... - i jak ktoś tam.

Żal. Wystarczyło uwierzyć, że ten jego „początek” zapowiadał wielki „koniec”. Bo zapowiadał. Żartuję więc sobie, że Trziszka postanowił „Dać drapak” i nie pomógł mu „Stan skupienia”. A skoro żartuję, to wszystko jest w porządku Trziszkę trzeba czytać, żeby wypełnić pustkę między „początkiem” i domniemanym „końcem”.